

Samuel Sandler

Julian Marchlewski o Multatulim

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 44/1, 284-303

1953

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

SAMUEL SANDLER

JULIAN MARCHLEWSKI O MULTATULIM

Julian Marchlewski, współtwórca rewolucyjnych organizacji i partii polskiego proletariatu: Związku Robotników Polskich, Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy, Komunistycznej Partii Polski, jeden z najwybitniejszych przywódców polskiej klasy robotniczej, którego imię nierozzerwalnie związane jest z najlepszymi tradycjami rewolucyjnych walk niemieckiej klasy robotniczej i dziejami zwycięskiej rewolucji socjalistycznej w Rosji, wniósł doniosły wkład do rozwoju nauki marksistowskiej i do życia intelektualnego naszego narodu. Ale dopiero obecnie toruje sobie jego twórczość naukowa i literacka drogę do świadomości szerokich mas naszego społeczeństwa. Udostępniane są jego prace naukowe, przypominane artykuły publicystyczne, które stanowiły celny oręż w walce o zwycięstwo idei socjalizmu, o zwycięstwo dążeń rewolucyjnego proletariatu. Po raz pierwszy dowiedział się czytelnik polski o jego obszernej korespondencji z Orkanem czy korespondencji z Żeromskim.

Niedawno znowu wydobyto z zapomnienia świetny artykuł polemiczny Marchlewskiego atakujący dekadentcki estetyzm młodopolskiej Chimery¹. Od kilku lat prowadzona jest praca nad bibliografią pism Marchlewskiego. Jego dorobek naukowy i literacki jest olbrzymi. Marchlewski był utalentowanym badaczem marksistowskim i publicystą. Swoją działalność w tym zakresie traktował jako składnik ogólnej walki proletariatu o wyzwolenie. Pisywał setki artykułów do nielegalnej prasy, pisywał do socjalistycznych pism niemieckich, wykorzystywał dla celów propagowania rewolucyjnych i postępowych idei prasę legalną. Ezopowym językiem umiał zmylić czujność cenzury urzędowej zaborczej i „cenzurę” redakcyjną pism burżuazyjnych. Drukował swoje artykuły z zakresu ekonomii, socjologii i historii w większości bodaj ważniejszych czasopism legalnych wszystkich trzech zaborów (Przegląd Poznański, Prawda, Głos, Kultura, Ekonomista, Ateneum, Ogniwo, Oświata, Krytyka i inne). Twórcze zbadanie naukowego i literackiego dorobku Marchlewskiego jest ledwie zapoczątkowane. Nie tuszując jego błędów, nieraz poważnych, w dziedzinie np. ujmowania sprawy narodowej czy oceny chłopstwa, czy wreszcie bardziej szczegółowych, występujących w jego pracach historycznych, ma jednak nauka polska poważny obowiązek wszechstronnego zbadania działalności badawczej tego wielkiego rewolucjonisty, „wyraźiciela rewolucyjnego, marksistowskiego nurtu w polskim ruchu robotniczym”²,

¹ J. Marchlewski, *Chimeryczny pogląd na stosunek społeczeństwa do sztuki*. Materiały do Studiów i Dyskusji..., III, 1952, nr 1/9.

² B. Bierut.

pracę tego przywódcy szczególnego typu, jakiego wydał socjalizm naukowy — działacza łączącego codzienną praktykę rewolucyjną z twórczością naukową, badawczą, propagandową. Nie są jeszcze dostępne wszystkie, a nawet większość wypowiedzi Marchlewskiego o literaturze i sztuce, choć wiemy już, że było ich sporo i że wiele jest w nich cennego, żywego i aktualnego. Ze zrozumiałych względów nie chciałoby się przeoczyć jakiegokolwiek ważniejszej wypowiedzi dotyczącej tych zagadnień. A poniżej zamieszczony artykuł mógł być na to narażony. Jest to rozprawa o pisarzu holenderskim Edwardzie Douwes-Dekkerze, znanym w literaturze pod mianem Multatuliego. Artykuł ten ogłosił Marchlewski w *Prawdzie* w roku 1901³. W spisie rzeczy pracę tę umieszczono naturalnie w dziale literatury holenderskiej. Istniało małe prawdopodobieństwo, aby bibliografowie pism Marchlewskiego czynili w tym dziale poszukiwania. Ale, jak się przekonamy, nie jest to bynajmniej artykuł przypaddingowy. Napisanie go przez Marchlewskiego tłumaczy się nie tylko racjami politycznymi, ale także aktualnymi poczynaniami praktycznymi.

Artykuł Marchlewskiego ukazał się w *Prawdzie* w okresie jego najczynniejszej współpracy z tym pismem. W tym samym roku drukuje także na jego łamach — poza licznymi artykułami z dziedziny ekonomii, socjologii i historii — wspomnianą już polemikę z redaktorem *Chimery*, Zenonem Przesmyckim-Miriamem. Wówczas też ogłasza serię artykułów pt. *Z podróży po Galicji*. Marchlewski przebywał w tym czasie w Niemczech, głównie w Monachium. Tam też rodzi się jego inicjatywa zorganizowania wydawnictwa, które drukowałoby w przekładach niemieckich najwybitniejsze dzieła literatury polskiej i rosyjskiej. Ale nie tylko: jak wskazuje nazwa prowadzonego przy współudziale Marchlewskiego wydawnictwa monachijskiego *Verlag für Slavische und Nordische Literatur* (w latach 1902—1905), miało ono szersze zamierzenia, w sposób naturalny kierując się zatem i ku literaturze krajów północnej Europy, m. i. ku literaturze holenderskiej. Nie wiemy dotąd, w jakiej mierze wydawnictwo zadanie to spełniło. Sprawa ta wymaga specjalnych badań. W każdym razie praktyczne poczynania wydawnicze Marchlewskiego w wystarczający sposób tłumaczą ów na pozór nieoczekiwany tematycznie artykuł. Ale dlaczego Multatuli? To już sprawa prostsza. Dekker-Multatuli był wówczas niewątpliwie jednym z najgłośniejszych pisarzy holenderskich. Szczególną popularnością cieszył się on w Niemczech, gdzie spędził ostatnie dwadzieścia lat życia (zmarł w roku 1887). Swoją popularność, dziś już nieco w świecie wyblakłą, zawdzięczał Multatuli przede wszystkim swej głośniejszej powieści *Maks Havelaar*, powieści, która zresztą dotąd jeszcze stanowi trwałą pozycję w literaturze światowej. W Polsce po raz ostatni była wydana w roku 1949 i wywołała duże zainteresowanie, mimo że okrojona wydawcy niejednokrotnie pozbawiły ją tej urzekającej pasji moralnej, która stanowi o wielkości dzieła. Była to książka w pełnym znaczeniu słowa zaskakująca. Czasem rozwlekła, rozwichrzona; rażący nadmiar patosu sąsiadował w niej nieraz z najzjadliwszymi inwektywami, głębia obserwacji społecznej ze zdumiewającą naiwnością, celność oskarżenia — z płytką wiarą w naprawę krytykowanego systemu społecznego. Po napisaniu książki, w roku 1860, spadła na Multatuliego prawdziwa lawina potępienia ze strony „oficjalnego” społeczeństwa holenderskiego. Nazwano go Herostra-

³ Nr 36/1080.

tem i bezbożnikiem, siewcą niemoralności i wrogiem narodu. „Zaprzecza istnieniu duszy, nieśmiertelności, zbawienia — pisało jedno z ówczesnych pism holenderskich o Multatulim. — Rzuca się na rzeczy, które naród przywykł kochać i czcić. Depece je”. Straszono go nieuchronnym wykreśleniem z pamięci narodu. Oskarżenia ciskane na Multatuliego, najordynarniejsza nagonka była tym bezkarniejsza, że — jak przypomina Marchlewski — oszukańczy wydawca wydał wszystkiego 1300 egzemplarzy po dostatecznie wysokiej cenie: 4 guldenów, by powieść była dostępna tylko dla wybranej „elity”. Bo książka była naprawdę niebezpieczna. I nie w tym rzecz, że była bezbożna. I nie w tym, że była niemoralna, nawet w duchu norm protestanckiej pruderii mieszczańskiej. Niebezpieczeństwo książki tkwiło w tym, że ośmielała się na namiętne oskarżenie nieludzkiego „systemu nadużyć i gwałtów, rabunku i morderstwa”, stosowanego przez imperializm holenderski w posiadłościach kolonialnych, w dzisiejszej Indonezji. Oburzenie przeciwników ideowych Multatuliego wystawia mu w historii najlepsze świadectwo. Oczekiwał „nagany” i „potępienia”. Wierzył w skuteczność skandalu. „Książka jest rozwichrzona... — uprzedzał ataki krytyków — nie ma w niej jednolitości... pogoń za efektami... styl kiepski... Autor niezręczny... bez talentu... bez metody... Zgadzam się na wszystko! Ale Jawajczyk jest gnębiony!”

I tej opinii nic nie mogło zachwiać. Wiedzę o działaniu systemu kolonialnego czerpał Multatuli z własnej siedemnastoletniej obserwacji wyniesionej ze służby w administracji kolonialnej na Jawie i Sumatrze. I z doświadczenia, że żadne indywidualne próby stanu tego zmienić nie mogą. Jego własne próby, uporczywe starania, najszlachetniejsze ofiary były zupełnie bezowocne. Gdy wszystko zawiodło, gdy skrzywdzony i poniżony w swej godności ludzkiej porzucił służbę i powrócił do Europy, postanowił piórem podjąć walkę ze zbrodniczym, ludobójczym systemem kolonialnym. Marchlewski nie oszczędza złudzeń, naiwności Multatuliego, który usiłował apelować do sumień wyzyskiwaczy, ich urzędników — rządu i administracji, do sumienia króla holenderskiego — uosobienia systemu przemocy. Królowi poświęcił nawet swoją powieść w naiwnym przekonaniu, że nie jego jest wola, „żeby tam — jak pisał zwracając się doń — za morzem, Twój poddani, których jest przeszło trzydzieści milionów, byli gnębieni i wyzyskiwani w Twoim imieniu”. Łudził się Multatuli wierząc w skuteczność humanitarnych apelów. Łudził się wierząc w skuteczność poruszenia sumień, w apel do moralności. Najgłębiej wierzył, że powieść jego wszystkich poruszy. Najbardziej chciał, aby jego książka była czytana. Oto jego charakterystyczne wyznanie: „...chciałem być czytany! Tak, chcę być czytany. Chcę być czytany przez mężów stanu, którzy są obowiązani zwracać uwagę na objawy epoki..., przez literatów, którzy będą musieli choć raz rzucić okiem na książkę, o której ludzie mówią tyle złego..., przez handlowców, którzy są zainteresowani w aukcjach kawy..., przez pokojówki, które mnie wypożyczą za kilka centów..., przez gubernatorów jeneralnych w stanie spoczynku..., przez ministrów w służbie..., przez lokajów przy ekscelencji..., przez nabożnych pastorów, którzy zwyczajem przodków powiedzą, że rzucam się na Boga Wszchemogącego, gdy ja tymczasem protestuję tylko przeciw bożkowi, którego urobili na obraz i podobieństwo własne..., przez przedstawicieli narodu, którzy muszą wiedzieć, co się dzieje tam, w tym państwie za morzem należącym do państwa niderlandzkiego. Jeśli ten cel osiągnę, będę zadowo-

lony. Nie zależało mi bowiem na tym, żebym pisał dobrze. Chciałem napisać tak, żeby mnie wysłuchano”.

Powieść Multatuliego była dla autora wielkim aktem moralnej rozprawy z systemem kolonialnym w imię zreformowania tego systemu. I nie w tym — rzecz prosta — tkwi jego siła. Ale przeświadczeniu temu sam w pełni nie ufał. Naiwna wiara w abstrakcyjnie pojęte sumienie ludzkie, w moralność, ściera się w jego książce z nieufnością do burżuazji, klas panujących, których troska o interesy, o zyski kolonialne paraliżowała praktyczne usiłowania Multatuliego w kierunku złagodzenia systemu gwałtu i przemocy imperialistycznej. Z tej to nieufności zrodziło się poszukiwanie dróg bardziej skutecznej walki. Mimo ogromu przytoczonych dowodów Multatuli obawiał się, że jego apele pozostaną bezsilne. Z tego przekonania płyną jego groźne zapowiedzi: „Wówczas przetłumaczę swoją książkę na malajski, jawajski, zundajski, alfurski, bigunezyjski, battakski... I dusze biednych męczenników, którym przysiągłem nieść pomoc, zapalać będą: ostrzącymi miecz pieśniami bojowymi, ja, Multatuli!”

Książka Multatuliego — w tym jego wielkość — była zapewne pierwszą na taką skalę i z takim talentem napisaną rozprawą z imperialistycznym uciskiem kolonialnym, pierwszym tak bezwzględny, bezkompromisowy obnażeniem jego zbrodniczego działania. W okresie, kiedy kapitalizm przeszedł w swoją najwyższą fazę, gdy imperializm stał się faktem powszechnym, nieprzypadkowo dzieło Multatuliego zdobyło tak wielką popularność. Okrzyk: „Jawajczyk jest gnębiony!” — dał się uogólnić na wszystkie narody uciskane przez przemoc imperialistyczną. Książka Multatuliego oskarżała nie tylko niewolę kolonialną, którą Holendrzy narzucili Jawajczykom, ale wszelką niewolę kolonialną. I to czyniło Multatuliego tak bliskim Marchlewskiemu.

Marchlewski bowiem należał do tych marksistów, którzy z głęboką przenikliwością dostrzegali rozwój imperializmu, do tych, którzy umieli uchwycić przejawy nowego etapu dziejów. Świadczą o tym jego liczne prace naukowe poświęcone zagadnieniom imperializmu, sprawie wojen zaborezych, zagadnieniom nowych form walki proletariatu wiodących do zwycięstwa rewolucji socjalistycznej.

Marchlewski z całą pasją rewolucjonisty podkreśla zbrodniczość imperializmu, jego ludobójczy charakter: „Multatuli napisał — czytamy w artykule: — »wioskę zajęło wojsko holenderskie, więc stała w płomieniach«, i zdaniem tym rzucał oskarżenie straszne — a dziś? Dziś czytamy w sprawozdaniach urzędowych o „ekspedycjach” wojskowych Anglików w Dahomeju, Francuzów w Tonkinie, Niemców w Kamerunie takie rzeczy: „wioski powstańcze zburzono”. Sędziowie nie znali języka krajowego — cały „sąd” nad kilkudziesięciu ludźmi trwał godzinę! — „zostali rozstrzelani”, itd. itd. Dziś czytamy „listy Hunnów” o czynach armii narodów cywilizowanych pod wodzą marszałka mieszkającego w domu azbestowym, o mordach, o gwałceniu niewiast, o pożogach, o topieniu ludzi setkami, by szło sporzej dzieło mordowania — a przecie nie widzimy, by „dreszcz zgrozy” wstrząsnął społeczeństwem! Nic dziwnego: przeżyliśmy od tego czasu czterdzieści lat „kultury i cywilizacji”; postęp widoczny!”.

Gniewna ironia, z jaką Marchlewski komentuje przytoczone fakty, rzuca znamienne światło na jego praktykę publicystyczną. Cechowała ją wybitna umiejętność przemawiania do różnorakiego czytelnika. Na łamach Prawdy

przemawiał on nie do towarzyszy walki, przemawiał do burżuazyjnego inteligenta, do drobnomieszczanina. Na łamach Prawdy, głoszącej chwałę postępu cywilizacyjnego, było rzeczą celową napiętnowanie z całą pasją przejawów tego postępu w warunkach kapitalizmu. Marchlewski z sympatią pisze o szlachetnych porywach reformatorskich Multatuliego, ale zarazem z subtelną ironią wskazuje na jego naiwną wiarę w skuteczność swoich poczyniń. Było to ze strony autora artykułu przejrzystym atakowaniem mitu „reform” rozpowszechnionych wśród jego czytelników.

Na kanwie losów osobistych i pisarstwa Multatuliego wykazuje dalej Marchlewski, jak walka nawet już nie o sprawiedliwość, ale o ograniczenie niesprawiedliwości, walka szczerą i bezkompromisową stawia Multatuliego naprzeciw całego „oficjalnego” społeczeństwa burżuazyjnego. Wskazuje na tragizm osamotnienia pisarza i na patos jego walki: „I człowiek ten samopas puścił się teraz na bój z Mynheerem-Bourgeois, począł smagać go biczem satyry, buntować przeciwko niemu umysły, wojować przeciw fałszowi, przeciw obłudzie, hipokryzji, powadze fałszywej. Straszny to był bój, pelen tragizmu, zwycięstw i porażek”.

Dalej dowodzi Marchlewski z rewolucyjnym optymizmem skuteczności tej walki, jej celowości, jej historycznej roli powołania do życia ruchu masowego, perspektywy zwycięstwa prawdziwego humanizmu. Zręcznie omijając sieci carskiej cenzury uczy swego czytelnika: „Lecz nie tylko zwyciężył poeta Multatuli, zwyciężył także Douwes-Dekker człowiek, szermierz prawdy: podkopał on bowiem panowanie Mynheer-Bourgeois; od pojawienia się jego pism datują się nowe prądy umysłowe w Holandii, a te następnie zrodziły ruch polityczny i społeczny w kierunku wrogim dla dotychczasowych władców, wyzyskiwaczy i katów Insulindy. Z dziełami Douwes-Dekкера teraz dopiero zapoznał się świat szerszy, kiedy gorący wielbiciel jego, Wilhelm Spohr, wydaje te pisma po niemiecku. Wdzięczność się za to należy tłumaczowi, gdyż umożliwił nam poznać się z człowiekiem, który ma wiele do powiedzenia, jest jednym z tych, co każą nam wierzyć w szlachetność rodzaju ludzkiego”.

Wskazując na wielkie walory ideowe twórczości Multatuliego podkreśla równocześnie Marchlewski mistrzostwo jego pisarstwa, jego sugestywność, niezwykłą zdolność obrazowania, trafność relacji, bogatą skalę środków artystycznych.

W analizie twórczości Multatuliego dokonanej przez Marchlewskiego zaskakuje na pozór jeszcze jeden szczegół. Wspominając późniejsze dzieła Multatuliego, zresztą nie dorównujące już jego pierwszej powieści, porównywa Marchlewski jego siedmiotomowy zbiór aforyzmów, przypowieści i parabol z analogicznymi utworami Fryderyka Nietzschego.

Porównanie owego zbioru Multatuliego — *Ideï*, z utworami Nietzschego odnosi się wyraźnie do zagadnienia formalnej konstrukcji aforyzmu, przypowieści u obu pisarzy odznaczającej się wyjątkową błyskotliwością, efektywnością, niespodziewaną lub pozornie niespodziewaną pointą, sarkastycznym tonem antyburżuazyjnej krytyki, który zwoził niejednego zmylnego czytelnika dzieł prekursora faszystów. Marchlewski w artykule polemicznym o estetycznych poglądach Miriama mówił o sobie żartobliwie, że zajmuje się sztuką jako „ekonomista”, „społecznik”. Powyższe rozwiązania wskazują, że jego analiza twórczości Multatuliego odznacza się głęboką pasją ideowo-poli-

tyczną, umiejętnością przemawiania do określonego czytelnika, trafną argumentacją skłaniającą do przemyśleń, wyciągania wniosków. Wskazują one także, jaką rolę przypisywał Marchlewski realistycznemu pisarstwu, twórczości „szermierzy prawdy”, których dzieła służą „ruchowi politycznemu i społecznemu w kierunku wrogim dla dotychczasowych władców-robigraszów, wyzyskiwaczy i katów” narodów własnych i zależnych; jak szczytną rolę przypisywał literaturze, sztuce i jak wielkie zadania wyznaczał jej w dziele wyzwoleniczej walki proletariatu.

Zainteresowanie Marchlewskiego Multatulim nie ograniczyło się tylko do omawianego artykułu. W tym samym numerze Prawdy, w którym się on ukazał, oraz w numerze następnym drukuje Marchlewski tłumaczenie fragmentów z dzieł Multatuliego, przełożone na język polski z niemieckiego. Tłumaczenia te dokonane zostały na podstawie przekładu niemieckiego biografą i najlepszego bodaj tłumacza Multatuliego — Wilhelma Spohra.

Marchlewski zrezygnował z przełożenia fragmentów najlepszego dzieła Multatuliego, *Maksa Havelaara*, które niebawem miało się ukazać w języku polskim w dobrym przekładzie Bronisławy Neufeldówny (1903), i ograniczył się tylko do drobniejszych utworów: przypowieści z *Listów miłosnych* (1861) oraz z *Idei*, pisanych przez Multatuliego przez kilkanaście lat, do roku 1877, które początkowo ukazywały się co pewien czas w oddzielnych zeszytach.

JULIAN MARCHLEWSKI

MULTATULI¹

Nie ma wyniosłości. Nie ma pokory. Jest tylko prawda lub kłamstwo. Co ponadto — pochodzi z krainy pigmejów.

*

Może nie jest zupełnie prawdziwe, a może i to nieprawda.

*

Sztuka — w najwznioślejszym znaczeniu — jest środkiem najpotężniejszym ku wzbudzeniu poczucia piękna. A więc jest środkiem uszlachetnienia. A więc ćwiczenia są w sztuce używania. A więc środkiem prowadzącym ku cnocie. A więc środkiem zbliżania się do szczęścia.

*

Tych kilka aforyzmów charakteryzuje doskonale człowieka, który je napisał, Edwarda Douwes-Dekker. W pismach swoich sam siebie nazywał Multatuli, tj. „który wiele znosi”. A nazwa ta znów charakteryzuje rzeczywiście dosadnie jego życie. Był synem holenderskiego kapitana okrętu i za młodu wstąpił do służby jako

¹ Artykuł Marchlewskiego o Multatulim ukazał się w Prawdzie (redagowanej i wydawanej przez Aleksandra Świętochowskiego), w nrze 36 (1080) z dnia 25 sierpnia 1901 r., z podpisem: Dr J. B. Marchlewski.

urzędnik kolonialny w posiadłościach Niderlandów indyjskich². Przez lat siedemnaście przebywał w owej cudnej „Insulindzie”³, na Jawie zwłaszcza i Sumatrze. Tu stał się mężem, tu odebrał wrażenia, jakie na zawsze miały zdecydować o jego poglądach, o życiu.

Jakie były te wrażenia? Czy pamiętacie, czytelnicy, wiersze Heinego opiewające dzieje handlarza niewolnikami, Mynheer van Kock? Marli jak muchy niewolnicy umieszczeni w okręcie, z braku ruchu i powietrza, więc wypędzał na pokład, biczem zagrzewał do skoków i modlił się.

Podobnie też rządził Mynheer van Kock w Insulindzie. Mynheer jest bardzo porządnym, poważnym i bogobożnym człowiekiem. Żeby krzywdę czynić komukolwiek — broń Boże! Na wyspach Indyj nie gnębił bynajmniej tuziemców. Uczynił wszystko, co mógł uczynić, pozostawił ludności zupełny „samorząd”, nie stracił książąt miejscowych z ich stanowisk, tylko nałożył im pewne, bardzo łagodne obowiązki. Książęta rządzili sobie teraz i wszystko było w porządku; że tam trzymali oni lud w niewoli strasznej, to już ich rzecz. Mynheerowi do tego nic. Tylko o jedno mu chodziło: Mynheer handluje kawą, indygiem, cynamonem, gwoździkami, tytuniem — godziwa to rzecz. Na wyspach Insulindy rodzą się te produkty, więc Mynheer pragnie je stamtąd nabywać — godziwa to rzecz. Nie wydrze on ich nikomu — broń Boże; wchodzi tylko w układ z książętami krajowymi, by dostarczali tych wyrobów jak najwięcej — godziwa to rzecz. A że książęta chcąc dostarczyć tych towarów zmuszają swych poddanych, by uprawiali zamiast prosa i ryżu te wartościowe produkty na swoich polach i nimi płacili daniny niepomierne — to już rzecz książąt. A jeżeli owi poddani, dlatego że muszą uprawiać kawę, indygo, cynamon, tytuń itd., mrą głodem, ponieważ nie wystarcza ryżu i prosa — to już rzecz poddanych. Mynheerowi co do tego?

I oto nasz Multatuli został urzędnikiem w Insulindzie. Przebiegłszy szybko stopnie niższe został asystentem-rezydentem, tj. urzędnikiem przy boku jednego z owych książąt tuziemnych, „regencie”⁴. W przepisach powiedziano, że asystent ma obowiązek bronić ludność przed zbytym uciskiem „regenta”; nasz Multatuli był tyle naiwnym, że wziął na serio taki przepis: wiedział, że krzywdą

² Dzisiejsza Indonezja.

³ Nazwa Indonezji.

⁴ Multatuli był asystentem-rezydentem w prowincji Lebah na Jawie.

się dzieje poddanym Jawajczykom, więc bronił ich. Sam nie mógł postąpić ze zdziercą-księciem, jak należało, więc podał zażalenia do zwierzchnika swego, „rezydenta”. Było to znów nieco naiwnym: Mynheer-rezydent musiał przecież postępować z księciem tak, by w Rotterdamie było dużo kawy, cynamonu, imbiru, indyga — godziwa rzecz! Ale nie bardzo, bo Jawajczyka gnębiono, a Multatuli, któremu prawo nakazywało, by chronił Jawajczyka od pogwałcenia, był na łasce teraz mściwego księcia, zagrożony nożem lub truzizną. Więc jał Multatuli bronić się i niepokoić urzędy — naiwny! Wyparto go z Insulindy gwoli spokoju, bo tylko przy spokoju kwitnie handel cynamonem, imbirem, tytuniem i kawą.

Wrócił tedy Multatuli do ojezycznej i z początku starał się tu uzyskać sprawiedliwość. Ale w fotelu ministerialnym siedział Mynheer van Kock, na ławach parlamentu siedział Mynheer van Kock, a jego mądrość kończyła się na kalkulacji:

Gewinne daran achthundert Prozent,
Bleibt mir die Hälfte am Leben⁵.

Multatuli chwycił się jedyne go środka, jaki pozostał. Od zgrai sprawującej rządu w Niderlandach odwołał się do potomstwa owego narodu bohaterskiego, co ongi umiał poradzić sobie z psiarnią cesarza rzymskich, umierać śmiercią wielkich ludzi i zwyciężać⁶. Napisał powieść *Max Havelaar*, w której opisał, co widział i czego doznał w Insulindzie. Ze wszystkich „*j'accuse*“, jakie rozlegały się kiedykolwiek, powieść ta należy do najpotężniejszych może. Bystry umysł, wyostrzony doświadczeniem życiowym, wsparty tu jest rozbujającą fantazją; maczugą argumentów czerpanych ze ścisłej znajomości rzeczy, ostrzem szyderstwa razi autor swoich czytelników; eudnymi obrazami, na jakie zdobyć się może tylko wielki poeta, stara się on rozbudzić duszę swego narodu, by odezwała, że „krzywda się dzieje Jawajczykowi”, że w Insulindzie panuje „system nadużycia, mordy i rabunku, pod którym jęczy biedny Jawajczyk”.

Książka ta, według świadectwa współczesnych, wywarła wrażenie ogromne. „Dreszcz zgrozy przeszedł po kraju”, jak się wyraził

⁵ »Jeżeli zyskam na tym 80 procent, połowa zostanie mi w życiu« (przyp. aut.). Zapewne omyłka drukarska: powinno być 800%.

⁶ Holendrzy przypisują sobie pochodzenie od germańskiego ludu Batawów, który zamieszkiwał w starożytności terytorium między Renem a Waalem. Znane jest bohaterskie powstanie Batawów przeciw Rzymianom ok. r. 70 n. e., w którym zostali pokonani.

w parlamencie jeden z opozycjonistów, i były powody ku temu. Bo oto np., co odważył się pisać ten człowiek: „Wioskę zajęło wojsko holenderskie, więc stała ona w płomieniach”. O to jedno „więc” wszczęto polemikę gorącą. Rzeczywiście, jakże to: wojsko europejskie, uzbrojone w armaty i karabiny wyborowe, uśmierza bunt garstki nieszczęsnych tubylców, których doprowadził do rozpacz „system zdzierstwa, mordu i rabunku”; wojsko to, wysłane w imię „porządku”, „walczy pod sztandarem cywilizacji” i — wojsko to staje się bandą podpalaczy... To zastanawiało, bądź co bądź, ludzi w roku 1860. Dziś — gdyby nowy Multatuli napisał takie zdanie, nie wywołałoby ono polemiki. W najnowszym okresie polityki kolonialnej tak przywykliśmy do mordów, pożogi, egzekucji masowych w Afryce, w Indiach, Chinach, Australii, na Madagaskarze, że nie już nas nie zadziwi. Multatuli napisał: „wioskę zajęło wojsko holenderskie, więc stała w płomieniach”, i zdaniem tym rzucił oskarżenie straszne — a dziś? Dziś czytamy w sprawozdaniach urzędowych o „ekspedycjach” wojskowych Anglików w Dahomeju, Francuzów w Tonkinie, Niemców w Kamerunie takie rzeczy: „wioski powstańcze zburzono”. Sędziowie nie znali języka krajowego, cały „sąd” nad kilkudziesięciu ludźmi trwał godzinę! — „zostali rozstrzelani” itd., itd. Dziś czytamy „listy Humów” o czynach armii narodów cywilizowanych pod wodzą marszałka mieszkającego w domu azbestowym, o mordach, o gwałceniu niewiast, o pożogach, o topieniu ludzi setkami, by szło sporzej dzieło mordowania — a przecie nie widzimy, by „dreszcz zgrozy” wstrząsnął społeczeństwem! Nie dziwnego: przeżyliśmy od tego czasu czterdzieści lat „kultury i cywilizacji”; postęp widoczny!

Zresztą, w roku pańskim 1860 po Niderlandach „dreszcz przeszedł”, ale nie z tego nie wynikło. Mynheer-rząd państwowy zaproponował wynagrodzić autorowi romansu Multatuli krzywdy, jakie poniósł urzędnik kolonialny Max Havelaar, ale ponieważ człowiek Douwes-Dekker był dumny jak Multatuli, a doświadczony jak Max Havelaar, odrzucił propozycję i zażądał, aby przede wszystkim zmieniono system gwałtu, mordu i rabunku na taki, przy którym nie działałaby się krzywda Jawajczykowi. Mynheer zaś orzekł, że tego być nie może, gdyż zmniejsząby się zyski z handlu kawą, tytunem, indygiem, cynamonem i gwoździkami. I wszystko pozostało, jak było.

Wszystko; tylko — wśród narodu, nad którym panuje dotąd Mynheer, na wpół handlarz, na wpół pirata, na wpół plantator,

a przede wszystkim wilk giełdowy, słowem, *bourgeois* w całej swej obrzydliwości — pojawił się człowiek zbolący i zgryziony; mądry, wykształcony, o duszy ognistej, przepelnionej blaskami, barwami, wonnościami, jakie wchłonał w siebie za oceanem, w Insulindzie, wśród cudów przyrody podzwrotnikowej i biednych, cierpiących Jawajczyków. I człowiek ten samopas puścił się teraz na bój z Mynheerem-Bourgeois, począł smagać go biczem satyry, buntować przeciwko niemu umysły, wojować przeciw fałszowi, przeciw obłudzie, hipokryzji, powadze fałszywej. Straszny to był bój, pełen tragizmu, zwycięstw i porażek. A walka była o tyle nierówną, że bohater nasz doświadczył na sobie samym prawdy:

Ja, das schreklichste auf Erden
Ist der Kampf mit Ungeziefer
Dem Gestank als Waffe dient.
Das Duel mit einer Wanze!⁷
(Heine)

Inaczej też być nie mogło: różnił się od ogółu, więc stroniono od niego; był wyższy nad innych rozumem, więc spotwarzano go; był czystszy nad innych, więc opluto go. Tak było i tak będzie zawsze. Prorocy uznania nie znajdują. Dobrze jeszcze, gdy im pozwolą umierać śmiercią przyzwoitą na krzyżu, na stosie; gorzej tym, których o śmierć przyprawia w błocie małuczkiech udęczeń życiowych, w kale oszczerstw, potwarzy, łajdaactw.

Multatuli przeszedł to wszystko. Aż nadto często wraz z rodziną głodem przymierał. Swego *Max Havelaar* pisał siedząc w oberży w Brukseli, gdzie jakiś niezwykle przyzwoity szynkarz udzielał największemu poecie Niderlandów kredytu przez siedem miesięcy. Gdy dzieło było skończone, autor spotkał się z najgorszą ze wszystkich pluskiew — z mecenasem. Jakiś szubrawiec, znany literat holenderski, Jacob van Lenep, podjął się wydawnictwa, a autor, nie mając pieniędzy na druk, musiał się zgodzić. I oto, co się stało. Dzieło wydano w 1300 egzempl. po 4 guldeny; wobec tego nie dopięło ono swego celu, nie dostało się do najszerszych kół. Kiedy zaś rozehwytano pierwsze wydanie, wówczas wydawca oświadczył, że jako właściciel dzieła — kupił je na własność za 1200 guldenów — nie pozwala na drugi nakład. Dlaczego? Mynheer Lenep dał od-

⁷ »Tak, najstraszniejszą na ziemi jest walka z robactwem, któremu odór służy za broń — pojedynek z pluskwą« (przyp. aut.).

powieź taką: „Dzielo dostało się do rąk takich, jak należało; nie pozwolę, by dostało się do rąk motłochu i narobiło biedy”. Czytaj: „by nie poniósł szwanku handel kawą, tytuniem itp.”. Mynheer zawsze był szubrawcem i pozostanie nim. Czy każe się tytułować „Wohlgeboren”, „Esquir” czy „wielmożny” — na jedno wyjdzie.

Nielepiej się działo z innymi pismami Dekkera. Próbował pisywać dla pism periodycznych; redaktorowie odrzucali mu felietony, bo „czytelnicy ich nie rozumieli”; związał się z nakładcą — ten go oszukał. A pomimo to człowiek ten, żyjąc prawie ciągle w nędzy, dopiero na schyłku dni znalazł przyjaciela, który pomógł mu utworzyć lepsze warunki bytu. Walcząc z najokropniejszymi dolegliwościami zdążył napisać od r. 1880—1888⁸, w którym umarł, 12 tomów. Z tego siedem zajmują *Idee*, zbiór aforyzmów, przypowieści, parable, które porównać można chyba do tego tylko, co pisał Fryderyk Nietzsche, a czasem jest wahanie, któremu z nich, Nietzschemu czy Dekkerowi, należy się pierwszeństwo. Dramat *Szkoła książąt* stał się najpopularniejszym z utworów scenicznych w Holandii; a w ogóle na dziełach Dekkera dziś jeszcze bogacą się nakładcy. Tak — dziś należy on do najbardziej cenionych autorów, od niego datują odrodzenie literatury holenderskiej.

Leż nie tylko zwyciężył poeta Multatuli, zwyciężył także Douwes-Dekker człowiek, szermierz prawdy: podkopał on bowiem panowanie Mynheera-Bourgeois; od pojawienia się jego pism datują się nowe prądy umysłowe w Holandii, a te następnie zrodziły ruch polityczny i społeczny w kierunku wrogim dla dotychczasowych władców-robigraszów, wyzyskiwaczy i katów Insulindy.

Z dziełami Douwes-Dekkera teraz dopiero zapoznał się świat szerszy, kiedy gorący wielbiciel jego, Wilhelm Spohr, wydaje te pisma po niemiecku⁹. Wdzięczność się za to należy tłumaczowi, gdyż umożliwił nam poznać się z człowiekiem, który ma wiele do powiedzenia, jest jednym z tych, co każą nam wierzyć w szlachetność rodzaju ludzkiego.

⁸ Pomyłka w datach: powinno być 1860—1887 (*Maks Havelaar* ukazał się w roku 1860, Multatuli zmarł w roku 1887).

⁹ Dotąd ukazały się cztery tomy: *Wyjątki z pism, Maks Havelaar, Liebesbriefe, Millionstudien*. Nakład J. C. C. Brun. Minden (przyp. aut.).

Z DZIEŁ MULTATULIEGO¹⁰ (DOUWES-DEKKERA)

Spolszczone z przekładu niemieckiego dokonanego przez
Wilhelma Spohra

O powadze opowieść pierwsza

— Bracie, który wzrostem wyższy jesteś nade mnie, mozeszli dostać tego jabłka granatowego, co wisi pomiędzy kwieciami ognistym w zieleni i śmieje się do mnie wargami rozwartymi, jak dziewczka kusząca? Patrz, rozpękło to jabłko granatowe w dojrzałości swojej, a czerwona jak krew jest rana, którą samo sobie uczyniło, by moją wzbudzić pożądlivość. Pożadam tego jabłka granatowego, bracie mój! Ty, który wzrostem przewyższasz mnie, wyciągnij rękę swą i zerwij, abym jadł.

I uczynił tak brat, aby jadł brat młodszy.

I zdarzyło się, że poszedł starszy na pole, a ujrzał kozę górską, która zesła na niziny i szukała koźlątka swego.

— Azali nie widziałeś jagnięcia mego — spytała lwa — ty, który mieszkasz w równinie i lepiej ode mnie znasz ścieżki na błoniu równym, tak męczące dla mnie, gdyż kopyto moje rozdwojone?

— Zapomnij jagnię swe, zapomnij koźlę swe — rzekł lew — i chodź, abym cię pożarł.

I uczynił lew, jako rzekł.

A brat starszy zapytał lwa:

— Jakże to, że pożerasz kozę, co szuka swego koźlęcia?

— Słyszaleś, jak skarżyła się na niesprawność kopyt rozdwojonych — odrzekł lew. — Azali nie dobrze uczyniłem, żem ją pożarł? Patrz na pazury moje, które są „sprawne”! Patrz na „sprawność” kłów moich. Przeto więc pożarłem kozę górską.

Zadumał się młodzieniec i spojrział na ramiona swe, które były długie, a silne, a potężne. I ujrzał, jako są „sprawne” tak... że postanowił zniewolić brata do posługi swej.

A gdy ten prosił go po raz drugi, by zerwał owoce, rzekł mu:

— Patrz, oto ramiona moje. Azali nie powiedziales: twoje nie dostaną jabłka granatowego? Służ mi przeto, abym cię nie pożarł.

Od tego czasu służył brat młodszy starszemu. Lecz nierad był odkryciu, jakie ten zawdzięczał lwu.

I tak pozostało aż po dzień dzisiejszy.

¹⁰ Dokonany przez Marchlewskiego przekład z dzieł Multatuliego ukazał się w *Prawdzie*, 1901, nr 36 (1080) i 37 (1081) z dnia 25 sierpnia i 1 września 1901 r.

O powadze opowieść czwarta

— Ojczy mój, powiedz mi, czemu nie spada słońce?

Ojcu wstyd było, że nie wiedział, dlaczego nie spada słońce, i ukarał dziecię swe przeto, że się wstydził.

Dziecię uległo się gniewu ojca swego i nie pytało już nigdy, ani czemu słońce nie spada, ani o rzecz żadną, której tak bardzo wiedzieć pragnęło.

I nigdy dziecię to mężem się nie stało, pomimo że żyło sześć tysięcy lat...

Tępe pozostało i głupie po dzień dzisiejszy.

O powadze opowieść piąta

— Dokąd to, Philoinosie? — zapytał Hydor swego towarzysza, którego spotkał na ulicy Aten.

— Spieszę, abym wypił trzy kwarty lichego wina, które mnie czeka u najbrzydszej z trzech moich metres — odrzekł zataczając się Philoinos.

Albowiem był pijany.

— Chodź ze mną, wina masz dosyć, a metres nadto, widzi mi się.

— Trzy, Hydorze, trzy! — Mistrz rzekł.

I upadł Philoinos po raz trzeci tego wieczora. Lecz tym razem nie powstał już.

I leży tak aż po dzień dzisiejszy.

O powadze opowieść szósta

Onego czasu narodziło się dziecię pierwsze na świecie. W zachwycie była matka, a ojciec też patrzył na nie z miłością rzewną.

— Lecz powiedz mi, Geniuszu, zawszeli pozostanie tak maluczkiem? — pytała matka. — Nie wiem — dodała — azali mam pragnąć tego! Rada bym ujrzała dziecię swe człowiekiem, a jeszcze żal mi będzie, gdy tak się zmieni, że nie będę mogła nosić go więcej na rękach i karmić sobą.

— Dziecię twoje rozkwitnie, aż stanie się człowiekiem — rzekł Geniusz. — Nie będzie ono zawsze żywiło się tobą. Przyjdzie czas, że nie będzie noszone przez ciebie.

— Geniuszu! — zawołała matka w lęku swym — czy dziecina nie pójdzie precz ode mnie? Gdy będzie umiała biegać, czy nie ucie-

cze ode mnie? Cóż mi czynić, aby nie opuściła mnie dziecina moja, gdy nauczy się biegać?

— Miłuj swe dziecię, a nie opuści cię — odparł Geniusz.

Tak było. I tak pozostało czas niektóry. Lecz oto poczęło się rodzić dzieci mnóstwo. A było rodziców wiele, którym ciężko bardzo miłować tę liczną dźwiatwę.

Wówczas nakaz wymyślono, aby zastąpić miłość, tak jako wiele innych nakazów. Albowiem laćniej nakaz dać niż miłość.

Pamiętaj, abys' czeił ojca swego i matkę swoją!

Dzieci opuszczały rodziców swych, jeno tylko nauczyły się biegać. Dodano do przykazania zakłęcie:

Aby ci się dobrze wiodło po wszystkie dni żywota twego!

Wtedy wiele dzieci pozostało przy rodzicach! Aliści nie tak pozostały, jak marzyła matka pierwsza, kiedy pytała Geniusza: „Cóż mi czynić, aby nie opuściła mnie dziecina moja, gdy nauczy się biegać?”

I tak pozostało aż po dzień dzisiejszy.

O powadze opowieść ósma

Thygater¹¹ doila krowy ojca swego, a doila bardzo dobrze, albowiem mleko, które przynosiła do domu, dawało więcej masła niżli mleko, które znosili bracia jej. Powiem ci, dlaczego tak było, a uważaj pilnie, Fancy¹². abys' wiedziała... gdy zdarzy ci się, że pójdiesz doić krowy. Lecz mówię ci nie przeto, abys' doila tak jak Thygater, lecz abym ci wskazał jako przykład braci jej, którzy mniej dobrze dojąc, lepiej czynili. Rozumniej przynajmniej.

Zanim wkroczy na pastwisko mlódź wiejska, stoją u płotu krowy i czekają, by oswobodzono je od nadmiaru, który one zachowały w sobie właściwie dla swoich cieląt. Lecz ludzie zjadają cielęta, „ponieważ czują się ku temu sprawnymi”, a wtedy mleka nadto jest w wymionach krów.

Cóż dzieje się, kiedy tak krowy z wyrazem głupim stoją u płotu? Kiedy stoją tak nieruchome, wtedy lżejsza część mleka zbiera się u wierzchu w wymionach.

¹¹ Thygater po grecku — córka; w sanskrycie — dziewczka dojąca krowy (przyp. Multatuliego).

¹² Parabole te były umieszczone w książce zatytułowanej *Listy miłosne*; listy te zaś były pisane do kochanki poety, Fancy; ten wyraz angielski znaczy fantazja (przyp. J. Marchlewskiego).

Więc kto doi cierpliwie aż do resztek, ten tłuste mleko niesie do domu, komu spieszno — pozostawia śmietankę.

A oto patrz, Thygater nie było spieszno, ale braciom jej było spieszno.

Albowiem ci twierdzili, że mają prawo czynić coś więcej, niż doić krowy swego ojca. Ona zaś o prawie takim nie myślała.

— Ojciec nauczył mnie strzelać strzałą i łukiem — mówił jeden z braci. — Ja mogę żyć z łowów i chcę bujać po lasach i błoniach, żyć i pracować dla siebie samego.

— Mnie nauczył łowić ryby — mówił drugi. — Głupim byłbym, gdybym chciał wiecznie doić krowy nie moje.

— Pokazał mi on, jak uczynić czółno — wołał trzeci. — Ścinam drzewo i siadłszy na pień, puszczam się na wodę. Chcę wiedzieć, co tam jest po drugiej stronie jeziora.

— Mam ci ochotę zamieszkać z jasnowłosą Gyne¹³ — oświadczył czwarty — abym miał dom własny i swoje Thygater, które by dla mnie doły.

Tak każdy z braci miał pragnienie, żądze, wolę. A tak byli pochłonięci dążeniami swymi, że żaden z nich nie przestrzegał czasu, aby zabrał śmietankę, którą krowy smutne musiały zachować przy sobie bez pożytku dla kogokolwiek.

Thygater zaś doła do ostatniej kropli.

— Ojcie — zawołali w końcu bracia — odejdziemy!

— A któż doić będzie? — pytał ojciec.

— A no Thygater!

— A jakże będzie, gdy i ona zapragnie jeździć, łowić, oglądać świat? Jakże będzie, gdy i jej przyjdzie myśl zamieszkać z istotą jasno- czy ciemnowłosą, aby miała dom swój ze wszystkim dobytkiem? Bez was obyć się mogę, lecz bez niej nie... albowiem tłuste bardzo jest mleko, które przynosi do domu.

Rzekli tedy wnet po namyśle synowie:

— Więc, ojcie, nie ucz jej niczego! Wtedy będzie wiecznie doła krowy, aż do końca żywota swego. Nie pokaz jej, jak cięciwa napięta kurcząc się miota strzałę: nie będzie miała żądzy ku łowom. Utaj przed nią popęd ryby, którą rzuca się na haczyk, skoro wdziejesz nań kęsiek ścierwa: nie zapragnie wtedy zarzucać wędki i sieci. Nie uczaj jej, jak wydraża się pień, aby puścić się w nim na wodę: nie zatęskni wtedy ku drugiej stronie jeziora. I niech nie dowie się

¹³ Również po grecku — kobieta (przyp. Multatuliego).

nigdy, jak to można z istotą jasnowłosą lub ciemnowłosą mieć siedzibę własną i dobytek. Niech nigdy nie dowie się o tym wszystkim, ojeze, a pozostanie przy tobie, i mleko krów twoich będzie tłuste. Jednakże... dozwól nam pójść, każdemu za pożądaniem swoim.

Tak mówili synowie; wszelako ojciec — jako że był ostrożny — odparł:

— Aliści, kto przeszkodzi, aby ona poznała, czego ja jej nie nauczę? Jakże będzie, gdy zobaczy ważkę wodną płynącą na liściu unoszonym przez fale? Jakże, gdy spostrzeże, że nitka jej przędziwa kureczy się i ściągnięta, miota przypadkowo czótenko jej krosien? Jakże, jeżeli ujrzy na brzegu strumyka, jak ryba rzuca się na czerwia, lecz w zapędzie łapie paszczą za ostre źdźbła trzciny. I jakże nareszcie, jeżeli znajdzie gniazdko, które uwiły sobie skowronki w koniczynie w miesiącu majowym?

Zadumali się znów synowie i rzekli:

— Nie nauczy się ona stąd niczego, ojeze! Zbyt głupia jest, by żądy zaczerpnęła z świadomości. I my nie wiedzielibyśmy nic, gdybyś ty nam nie był powiedział.

Lecz ojciec rzekł:

— Nie, głupia ona nie jest! Obawiam się, że nauczy się sama z siebie, czego byście wy nie poznali beze mnie. Głupia nie jest Thygater!

Znów zadumali się synowie — tym czasem bardziej — i rzekli:

— Ojeze, powiedz jej, że wiedzieć, rozumieć, pożądać — grzechem jest dla niewiasty!

Teraz ojciec, bardzo ostrożny, był uspokojony. Dał wolę synom, by szli na łowy, puszczała się wplaw, szukali żon... na wszystko dał im wolę...

Lecz zabronił wiedzy, zrozumienia i pożądania swej Thygater, która w prostocie doła krowy po wszystkie dni żywota.

I tak pozostało aż po dzień dzisiejszy.

O powadze opowieść dziewiąta

Hassan sprzedawał daktyle na ulicach Damaszku. Jeżeli mówię — sprzedawał, to właściwie chodzi mi o to, że nie sprzedawał, daktyle jego bowiem były tak małeńkie, iż nikt kupować ich nie chciał.

Z zawiścią i złością patrzył on na to, jak wszyscy oddawali pierwszeństwo bogatemu Aouledowi, który mieszkał tuż przy nim na rogoży. Mieszkali bowiem obaj w Damaszku na rogożach, które tworzyły komnaty bardzo wysokie, skoro nie miały stropu nad sobą.

Bogaetwa też Aouleda nie stanowiły kamienice, jeno ogród, nader urodzajny; tyle urodzajny, że daktyle tam rosnące były takiej wielkości jak trzy daktyle zwykle. Toteż, kto przechodził tamtędy, kupował daktyle Aouleda, lecz nie Hassana.

I zdarzyło się, że przybył do miasta derwisz, który mądrości miał nadto, a żywności za mało. W każdym razie zamieniał swą wiedzę na żywność, a zobaczymy wnet, jak nasz Hassan dobrze wyszedł na takiej zamianie.

— Daj mi jeść — rozkazał mu derwisz — a uczynię dla ciebie, czego żaden kalif uczynić nie może. Zmuszę narody, by kupowały twoje daktyle, gdyż uczynię je dużymi, ba, uczynię większymi, niż są daktyle Aouleda. Jak duże są tamte?

— O, derwiszu, posłanniku Allaha, całuję stopy wasze — daktyle Aouleda — bodaj Allah wnętrzości pokreślił w nim! — są o trzykroć większe od zwyczajnych. Wnijdź na rogozę moją, skrzyżuj nogi, bądź błogosławiony i naucz mnie, jak uczynić moje daktyle dużymi i zmusić naród, by je kupował.

Powinien był właściwie Hassan zadać pytanie, dlaczego derwisz, który posiadał takie skarby wiedzy, nie posiada jada. Lecz Hassan nigdy nie drwił. Uraczył gościa swego skórą uwarzoną, bo tyle tylko mu pozostało ze skradzionego kozła.

Derwisz jadł, nasycił się i rzekł:

— Trzykroć większe od zwykłych są daktyle twego sąsiada... jak duże pragniesz mieć swoje, Hassanie, synu — nie wiem, czyj?

Hassan zastanowił się chwilę i rzekł:

— Bogdaj was Allah obdarzył dziećmi i byłem rogatym! Pragnę, by moje daktyle były trzykroć tak duże, jak dużymi możecie wy je uczynić.

— Dobrze — rzekł derwisz. — Patrz, oto ptak, którego przyniosłem z sobą z dalekiego Wschodu. Powiedz mu, że każdy z daktyli twoich jest tak duży jak trzy twoje.

— Życzę, byście posiadli żony i wielbłądy, o derwiszu, który pachniecie mile jak oliwki. Lecz cóż to pomoże, gdy ja ptakowi powiem to, czego nie ma?

— Czyń, jako rzekłem — odparł mędrzec. — Od tego jestem derwiszem, żebyś nie pojął, co mówię.

Hassan życzył ptakowi, by miał pióra długie i dał mu nazwę Rok. Lecz nie był to ptak Rok¹⁴. Był niewielki, podobny do kruka,

¹⁴ Rok nazywa się ptak-olbrzym w mitologii wschodniej. Nasze wieże w grze szachowej były dawniej słoniami, a jeszcze dawniej rokami. Stąd wyra-

o języku gadatliwym i chodzie skocznym. Derwisz przywiózł go z Indalns¹⁵, dokąd się dostał, od kupców przybyłych zza morza, z kraju owego, gdzie ludzie podobni są do Murzynów, jakkolwiek daleko to od Afryki. Że Hassan nazwał ptaka Rok, to dlatego, iż wiedział: kogo proszą, ten się nadyma. I odwrotnie: kto potrzebuje czegoś od innego człowieka, ten się kureczy. Tak było w Damaszku.

Hassan tedy skurczył się i rzekł:

— Jestem twoim niewolnikiem, o ptaku Rok! Mój ojciec był psem... a każdy z moich daktyłów jest tak duży jak trzy moje daktyle!

— Dobrze — rzekł derwisz. — Czyń dalej tak i bój się Allaha.

Hassan usłuchał: bał się Allaha i powtarzał bezustannie ptakowi, jako jego daktyle są niemożliwie duże.

Nagroda enoty wnet się ukazała. Nie zdążył jeszcze kalif po raz trzeci wymordować wszystkich mieszkanek swego harem... nie zdążyła jeszcze matka żadna przygotować należycie swej córki dla wysłania na rynek w Rnu...¹⁶, nie zdążył jeszcze Hassan spotkać się ponownie z jakimkolwiek koźlątkiem zabląkanym, które by zabrał dla towarzystwa oraz dla podtrzymania swego życia na rogoży, aż oto ptak wołać począł:

— Mój ojciec był psem!...

To było nie do rzeczy, ale ptak powtarzał za Hassanem:

...Mój ojciec był psem, bogdajbyś pióra miał długie, daktyle Hassana Ben...¹⁷

Nie znam imienia ojca Hassanowego, lecz skoro mąż ten był psem, niewiele na tym zależy.

...Daktyle Hassana są trzykroć większe, niżli są!

Znaleźli się tedy mędrkowie w Damaszku, co przeczyli ptakowi. Lecz nie trwało to długo. Było bowiem coś w głosie tego ptaka, co wprawiało w ruch powietrze w taki sposób, że miało wpływ na załamywanie światła. Daktyle urosły... w oczach ogólu.

A ptak wrzeszczał ciągle:

— Daktyle Hassana są trzykroć większe, niżli są!

zenie szachowe „rokować” lub „roszować”. (W dawnej polszczyźnie wieża szachowa zwała się „roch”. Patrz J. Kochanowskiego *Szachy*). [Przyp. tłum. — J. Marchlewskiego].

¹⁵ Indalns-Pertjah-Sumatra. Sądzę, że ptak był *beo* (tj. ptak papla), którego przywieziono przez Sumatrę z Nowej Gwinei (przyp. Multatuliego).

¹⁶ Konstantynopol.

¹⁷ Ben — syn.

I rosły tedy! Ludzie na łbach stawali, byle skosztować tych daktyli.

I Aouled schudł bardzo. Lecz Hassan kupił wiele kozłów i kozłat i wybudował nad rogożą swój dach. Stał się bardzo rzetelnym i nazywał teraz hańbą, jeżeli ktoś, co nie miał własnych kozłat, zjadł jedno z jego stada. I nie przestawał też bać się Ałaha.

Tę bogobożność i to bogactwo zawdzięczał własnemu ptakowi, który ciągle powtarzał jedno w kółko i z kłamstwa czynił prawdę przez powtarzanie. Każdy zapewniał, jako daktyle Hassana są bardzo duże, wszyscy byli zmuszeni kupować je.

Prócz Hassana, który po kryjomu kupował u Aouleda, dla którego stał się ostatnim i jedynym nabywcą.

I to tak zostało aż po dzień dzisiejszy.

Aforyzmy z dzieła pt. „Idee”

Dwie rękawice z lewej ręki nie stanowią pary rękawiczek. Dwie połowiczne prawdy nie stanowią prawdy.

Jedna tylko droga prowadzi do nieba: Golgota. Kto chce tam dojść inną, jest niecnym oszustem.

Był rycerz, który spadł z konia; odtąd każdy, kto spada z konia mniema się być rycerzem.

Skargi na egoizm są egoizmem.

Smutne to, że wyraz „oryginalny” uchodzi za pochwałę.

Znam ojca, który wie dokładnie, ile kosztuje go wychowanie syna. Zapisuje co do grosza. Czego wszakże nauczył się sam od swego dziecka, tego nie zapisuje. Jest to niesłuszne.

Dziwne to, że tylu ludzi rości sobie prawo mieć dzieci.

Znam w zwierzyńcu dozorcę, który umie obchodzić się z tygrysamami. Inny nadaje się do ptaków. Nawet sztuczna hodowla ryb jest specjalnością. Dzieci natomiast hoduje każdy.

Kto nie da więcej, niż otrzymał, jest zerem i rodząc się spełnił czyn zgoła zbyteczny.

Wierzyć — to śnić. Wątpić — to pożądać. Badać — to pracować.

Liczba pracowników jest bardzo szczupła.

Częstokroć zdarza się, że nie widzimy czegoś dlatego, że jest zbyt wielkie.

— Patrzaj, synu mój, jak Opatrzność dobrze uczyniła wszystko. Ptaszek składa jaja w gniazdku. Ptaszeta wyjdą z jaj wtedy, kiedy będą muchy i czerwie, którymi się mogą żywić. Wtedy pieśń wzniosła na chwałę Stwórcy, który obsypał twory swoje dobrodziejstwem.

— Czy czerwie będą śpiewały wraz z nimi, ojeze?

Wierz i uginaj się lub przecz i stój wyprostowany.

Naiwna, dziecięca nieprawda — niekiedy wzniosła — uchodzi w poezji. Lecz $2 \times 2 = 5$ będzie ohydą, dopóki 2 razy 2 nie jest ni mniej ni więcej, jeno cztery.

Dziecię, które ufne w prawdomówność ojca, wierzy w bajki, może być miłe swoją wiarą. Lecz wyrostek, który nosi surdut tak jak tatuś... émi fajkę, pije, klnie jak tatuś... zna łacinę i rozprawia o przyrodzie jak tatuś... a pomimo to wszystko stracha się upiórów i strzyg... taki truteń jest nieznośny.

Przyjm radę. Mianowicie: nie przyjmuj nigdy rady.

— Uważasz się za geniusza?

— Tak.

— Ta zarozumiałość jest zbyt wielka; trzeba ci wierzyć.

Nie wierz nigdy nikomu, kto mówi z pokorą, gdyż kłamie.

Pokora jest techórzliwą — i nierzetelną! — manierą udawania, że się jest czymś.

— Kto odważy się szturmować do tego wylomu? — pytał dowódcą.

— Ja! — woła pyszałek, który mniema się być najdzielniejszym w całym pułku. I idzie do szturmu.

Nie mówię bowiem o tych, co wołają „ja” i nie idą. Byłaby to pycha udana, ja zaś mówię o prawdziwej.